

KCIUK INŻYNIERA

W ciągu długich lat naszej serdecznej przyjaźni Sherlock Holmes rozwiązał mnóstwo zawikłanych spraw. Trudno wprost zliczyć! Tysiące skomplikowanych zagadek i prawdziwych „historii z dreszczykiem...” Ale chyba tylko dwie z nich były naprawdę godne jego geniuszu: sprawa Hatherleya i szaleństwo pułkownika Wartburtona. Każda jedyna w swoim rodzaju! Smutny, wypadek obłądu otwierał pole do popisu dla wnikliwego w całym tego słowa znaczeniu obserwatora. Natomiast historią inżyniera Hatherleya zasługuję na specjalne wyróżnienie ze względu na wstrząsającą akcję, która obfituje wprost w dramatyczne epizody pełne napięcia i grozy. Co za bogactwo wrażeń! Zapomina się nawet, że mój przyjaciel nie miał w tym wypadku wiele okazji do zastosowania swej słynnej metody dedukcyjnej. A przecież metoda ta — to sława Holmesa! Dzięki niej osiągał zawsze wspaniałe wyniki.

Całe wydarzenie, o ile mi wiadomo, znalazło się na łamach prasy. Lecz czyż może wzbudzić większe zainteresowanie wzmianka objętości pół kolumny druku? Tymczasem to sarno zdarzenie, Ujęte w formie opowieści, fascynuje swą niezwykłością i barwą. Tu dopiero roztoczyć można plastycznie przed oczyma czytelnika cały bieg Wydarzeń i ukazać żywe postacie, W miarę zaś jak każde nowe odkrycie zbliżą nas krok za krokiem do rozwiązania zagadki, coraz wyraźniej zarysowuje się niesamowitość akcji.

Okoliczności towarzyszące sprawie Hatherleya wywarły na mnie głębokie wrażenie. I to jeszcze jakie?! Po dwu nawet latach niewiele się zatarło! Pamiętam jak dziś. Było to latem 1889 roku, krótko po moim ślubie. Powróciłem właśnie do

praktyki lekarskiej i ostatecznie wyprowadziłem się z mieszkania Holmesa przy Baker Street. Niemniej stale go odwiedzałem i zawsze serdecznie zapraszałem do siebie. Ileż to razy namawiałem go, by porzucił, w miarę możliwości, swój cygański tryb życia! Wszystko na nic.

Tymczasem moja praktyka powoli powiększała się. Mieszkałem nie opodal dworca Paddington. I tak się stało, iż mimo woli zdobyłem sobie kilku pacjentów wśród tamtejszych urzędników. Jednego z nich bowiem wyleczyłem z bolesnej i przewlekłej choroby, za co z wdzięczności robił mi wielką reklamę i przysyłał każdego chorego, którego tylko dało się namówić. A był bardzo wymowny!

Pewnego dnia, krótko przed godziną siódmą rano, obudziło mnie donośne stukanie do drzwi. Była to służąca Betty. Oznajmiła, że z Paddington przyszły dwie osoby i czekają na dole. Ubrałem się pośpiesznie i szybko zbiegłem po schodach na dół. Chyba wypadek kolejowy!? Doświadczenie nauczyło mnie, że wymagają one niezwłocznej interwencji, a z reguły bywają skomplikowane. Na parterze spotkałem mojego starego sympatyka. Oczywiście znowu przyprowadził chorego. Właśnie zostawił go w gabinecie.

— On już tam jest! — wyszeptał wskazując za siebie. — Wszystko w porządku!

— Co się stało? — zapytałem zaciekawiony. Zachowywał się bowiem tak, jakby zamknął w moim gabinecie jakiegoś niesamowitego osobnika.

— Nowy pacjent — wyszeptał. — Woląłem go osobiście przyprowadzić. W ten sposób nie mógł się już „odmyślić”. Stąd już nie umknie! Ech! Zresztą jest przecież w dobrych rękach. Muszę już iść, doktorze, mam swoje obowiązki tak samo jak pan.

Mój „sprzymierzeniec” wyszedł, nie dając mi nawet czasu na podziękowanie.

W gabinecie zastałem siedzącego przy stole człowieka o powierzchowności budzącej zaufanie. Ubrany był w dobry tweedowy garnitur o barwie wrzosu. Zmiętą czapkę położył na moich książkach. Całą jego dłoń spowijała chusta zboczona krwią. Był to młodzieniec najwyżej dwudziestopięcioletni. Zdecydowanie męski typ. Uderzyła mnie jego niezwykła bladość. Za wszelką cenę starał się opanować zdenerwowanie, wywołane jakimś wstrząsającym przeżyciem. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie.

— Dzień dobry, doktorze!. — odezwał się nieznajomy. — Przykro mi, że zerwałem pana z łóżka o tak wczesnej porze, ale spotkał mnie tej nocy naprawdę poważny wypadek. Przyjechałem o świcie z Eyford do Paddington. Na stacji pytałem się o jakiegoś dobrego lekarza i ostatecznie ów zacny człowiek przyprowadził mnie do pana. Dałem służącej bilet wizytowy. Niestety, zostawiła go tu na brzegu stołu.

Przeczytałem wizytówkę: *Mr. Wiktor Hatherley, inżynier hydraulik, 16, A. Victoria Street, 3 piętro*. Teraz znałem już nie tylko nazwisko, lecz zawód i adres mego pacjenta.

— Przykro mi bardzo, iż musiał pan chwilę czekać — powiedziałem. — Proszę! Niech pan siada wygodnie i odpocznie trochę po nocnej podróży, która z natury rzeczy jest, nudna i męcząca.

— Och! Takiej nocy, jaką dziś przeżyłem, w żadnym wypadku nie nazwałbym nudną! — odparł ze śmiechem. Odchylił się do tyłu. Śmiech jego stopniowo wzrastał się, trząsł nim, chwilami przechodził niemal w spazmatyczny chichot. Wzdrygnąłem się. Co za niesamowity wybuch wesołości! Jako lekarzowi dał mi on wiele do myślenia.

— Spokojnie! Opanuj się pan! — krzyknąłem i chlusałem nań wodą z karafki. Nic nie pomogło. Typowy atak hysterii. Ulegają mu również i silne natury. Widocznie zbyt długo starał się opanować zdenerwowanie, wywołane jakimś

wstrząsającym przeżyciem, i to spowodowało reakcję. Po chwili zaczął się uspakajać. Śmiał się coraz słabiej, potem uderzyła nań fala gorąca. Znać było po nim kompletne wyczerpanie.

— No zrobiłem z siebie durnia — rzekł wreszcie, z trudnością łapiąc oddech.

— Ech! Nie jest tak źle! Niech pań to wypije. — Dołałem nieco wódki do wody i podałem mu. Bezkrwiste policzki poczęły stopniowo nabierać rumieńców.

— Już mi lepiej — powiedział. — A teraz, panie doktorze, może pan będzie łaskaw obejrzeć mój palec, a raczej miejsce, na którym mój palec powinien się znajdować.

Rozwiązał chustkę i wyciągnął rękę. Chociaż jestem lekarzem, widok ten podziałał mi na nerwy. Straszna, gąbczasta, poszarpana rana wśród czterech sterczących palców. Wyglądało to tak, jakby kciuk został wyszarpnięty potężną siłą.

— Wielkie nieba! — krzyknąłem. — Ależ to straszna rana. Musiała chyba silnie krwawić.

— Tak! — odrzekł. — Straciłem przytomność, gdy to się stało. Prawdopodobnie przez dłuższy czas leżałem bez zmysłów. Wreszcie ocknąłem się. Rana jeszcze krwawiła. Związałem silnie przegub ręki, pod chustką zaś umieściłem kawałek drewna. Miał on uciskiem tamować krew.

— Wspaniale, powinien pan być chirurgiem!

— No cóż! To jest niejako sprawa z dziedziny hydrauliki, a więc wchodzi tym samym w zakres mojej specjalności.

— Jak to się stało? — rzekłem badając ranę. — Co to za narzędzie? Chyba coś ostrego i ciężkiego?

— Pewnego rodzaju obcęgi — powiedział.

— Wypadek, przypuszczam?

— Ależ! Nic podobnego!

— Co? Czy chciano więc może pana zamordować?

— Bah! I to jeszcze w jaki sposób?!

— Niemożliwe!?

— Przemyłem i oczyściłem ranę. Po wydezynfekowaniu założyłem opatrunek i bandaż. Pacjent leżał spokojnie. Tylko chwilami przygryzał wargi.

— No, jak pan się czuje? — spytałem go po skończonym opatrunku.;

— Świetnie! Wódka i opatrunek sprawiły, że czuję się jak nowo narodzony. Osłabienie zupełnie już minęło.

— Może by było lepiej dla pana nie mówić o tej całej sprawie? Niewątpliwie jest to dla pańskich, nerwów nie wskazane.

— Ach, nie! Teraz już nie! Właściwie powinienem donieść o moim wypadku policji. Ale mówiąc między nami, gdyby nie to, że jest przekonywający dowód w postaci rany, to sam dziwiłbym się, gdyby oni uwierzyli mojemu opowiadaniu. Jest to bowiem całkiem niezwykły wypadek. Właściwie nie jestem nawet w stanie udowodnić, że w istocie on mi się przydarzył. Nawet jeśli by mi dano wiarę, to informacje, jakich mógłbym udzielić, są nader skąpe. Toteż wątpię, czy udałoby się policji ująć przestępców.

— Ha! — krzyknąłem. — Chce pan naprawdę wyjaśnić tę sprawę? A więc przed zgłoszeniem do policji zwróć się pan najpierw do mojego przyjaciela, Sherlocka Holmesa.

— O! Toć już o nim słyszałem! Byłbym bardzo, wdzięczny, gdyby chciał się zająć moją sprawą. Chociaż, naturalnie, muszę również zawiadomić policję. Czy mógłby mu pan mnie polecić?

— Jeszcze lepiej! Zaprowadzę pana do niego.

— Będę panu niezmiernie zobowiązany, doktorze.

— A więc bierzemy dorożkę i jedziemy. Czy to panu odpowiada?

— Ależ oczywiście! Nie odzyskam spokoju, dopóki nie opowiem o mojej przygodzie.

— Wobec tego mój służący wezwie dorożkę, a ja wrócę tu za chwilę.

Pobiegłem szybko na górę i wyjaśniłem sprawę mej żonie. Nie upłynęło nawet pięć minut, jak znalazłem się w dorożce i ruszyłem z moim nowym znajomym na Baker Street.

Sherlock Holmes, jak się tego spodziewałem, siedział w niedbałej pozie w bawialni. Odziany jeszcze w szlafrok, czytał rubrykę zgonów „Timesa” paląc poranną fajkę. Składały się na nią resztki tytoniu z poprzedniego dnia, starannie zbierane i suszone na gzymsie kominka. Przyjął nas z tak charakterystycznym dla niego, nie — zmaconym spokojem. Następnie kazał podać jajecznicę na boczku. Zasiadliśmy wspólnie do gorącego posiłku. Kiedyśmy skończyli, zaprosił naszego znajomego, by zajął miejsce na kanapie. Położył mu poduszkę pod głowę i postawił koło niego szklanekę brandy z wodą. — No, pana przejścia musiały być niezwykle, Mr. Hatherley! To widać na pierwszy rzut oka — zaczął Holmes.

— Proszę, niech pan leży spokojnie i czuje się jak u siebie w domu. O tak, znakomicie! A teraz może pan będzie łaskaw nam opowiadać. W razie, gdyby pan poczuł znużenie, proszę się pokrzepiać tym oto „wzmacniającym płynem”.

— Dziękuję uprzejmie — odrzekł mój pacjent. — Po opatrunku, założonym przez doktora, poczułem się jak nowo narodzony... a pańskie śniadanie, Mr. Holmes, podniosło mnie na dtichu. Nie chcę jednak zabierać panu jego cennego czasu i dlatego od razu rozpocznę moją dziwną historię. Postaram się wiernie odtworzyć cały tok wydarzeń.

Holmes usiadł tymczasem w swym wielkim fotelu. Przymknął powieki, a na twarzy jego malowało się głębokie skupienie. Cóż kryło ono w sobie? Namiętą chęć poznania

prawdy i rozwiązania skomplikowanej zagadki. Usiadłem naprzeciw niego.

Inżynier rozpoczął swą dziwną historię. W miarę opowiadania przykuwała ona coraz mocniej naszą uwagę.

Historia, która przytrafiła mi się w 1889 roku, była zaiste i niesamowita, i tajemnicza... prawdziwa historia „z dreszczykiem”. Na wstępie podam panom dla orientacji kilka szczegółów z mojego życia. Mieszkałem wówczas i nadal mieszkam zupełnie samotnie w Londynie. Z zawodu jestem inżynierem hydraulikiem. W czasie siedmiu lat pracy w znanym przedsiębiorstwie Venner i Matsheson w Greenieh nabyłem dużego doświadczenia. Dwa lata temu umowa o pracę z przedsiębiorstwem wygasła. Jednocześnie niemal otrzymałem dość znaczną sumę pieniędzy po moim drogim ojcu. Wówczas to postanowiłem założyć własne przedsiębiorstwo. W tym celu wynająłem lokal na Victoria Street. Przypuszczam, iż samodzielne organizowanie przedsiębiorstwa stanowi przykre przeżycie dla każdego, kto czyni to po raz pierwszy. Dla mnie było wyjątkowo przykre. W rezultacie w ciągu; dwu lat udzieliłem zaledwie trzech porad i wykonałem jakąś tam drobną pracę. To było absolutnie wszystko. Moje wpływy wynosiły 27,5 funta. Codziennie od dziewiątej rano do czwartej po południu wyczekiwałem na próżno w moim małym kantorku. Wreszcie począłem tracić wiarę w swe siły i nabierać coraz silniejszego przekonania, że nigdy nie zdobędę sobie klienteli.

Wczoraj jednak, gdy już miałem zamiar opuścić biuro, wszedł mój pracownik. Oznajmił mi z ożywieniem, iż jakiś pan chce się ze mną zobaczyć w pilnej sprawie.

Na bilecie wizytowym przeczytałem: *pułkownik Lizander Stark*. Zaraz potem wszedł sam pułkownik. Był on niezwykle chudy. Nigdy nie przypuszczałem, że może istnieć tak szczupły człowiek. Niesamowite wrażenie potęgowała jeszcze

jego twarz, zwężająca, się w kierunku nosa i podbródka, zaś policzki — to po prostu skóra naciągnięta na wystające kości. Ta nadmierna szczupłość nie była jednak wynikiem choroby. Widać to było zresztą już na pierwszy rzut oka: bystre wejrzenie, sprężysty krok i pewne siebie zachowanie. Ubrany był bez smaku, lecz schludnie. Mógł mieć około czterdziestu lat...

— Pan Hatherley? — spytał krótko z lekkim niemieckim akcentem. — Polecono mi pana, Mr. Hatherley, nie tylko jako dobrego fachowca, lecz również jako człowieka umiejącego dochować tajemnicy.

— Dziękuję uprzejmie! Czuję się zaszczycony jako młody człowiek tak pochlebną opinią. Czy mogę zapytać, kto jej o mnie udzielił?

— Owszem! Uważam jednak, że w obecnej chwili nie powinienem z pewnych względów o tym mówić. Z tego samego źródła otrzymałem dalsze informacje. Jest pan sierotą i kawalerem... Mieszka pan samotnie w Londynie.

— Rzeczywiście! Wszystko się zgadza — odparłem. — Proszę mi jednak wybaczyć, ale nie widzę żadnego związku pomiędzy tymi informacjami a moją fachowością. Przypuszczam też, iż chciał się pan ze mną zobaczyć w jakiejś sprawie zawodowej?

— Oczywiście! Przekona się pan jednak, iż to, co powiedziałem; ma pośredni związek z pana sprawą. Mam dla pana zlecenie z zakresu pańskiej specjalności, lecz wymagam absolutnej dyskrecji! Naturalnie możemy tego oczekiwać raczej od człowieka samotnego niż obarczonego rodziną.

— Jeśli zobowiązę się do zachowania tajemnicy, to może pan całkowicie polegać na moim słowie. — Gdy to mówiłem, pułkownik mierzył mnie kamiennym, niesamowitym spojrzeniem. Brr! Chyba jeszcze nigdy nie czułem na sobie tak badawczego i przenikliwego spojrzenia.

— A więc przyrzeka pan? — rzekł wreszcie.

— Tak! Przyrzekam!

— Całkowite i bezwzględne milczenie? Teraz i w przyszłości? Ani słowa na ten temat, ani żadnej pisaniny? Przecież dałem już panu moje słowo!

— A więc zgoda! — Poderwał się nagle, i przebiegł jak strzała przez pokój i gwałtownie otworzył drzwi. Korytarz był pusty. — Wszystko w porządku! Pracownicy nieraz interesują się nadmiernie sprawami swych pracodawców. Teraz już możemy mówić swobodnie. — Przysunął swoje krzesło blisko do mojego i znów począł przewiercać

mnie badawczym spojrzeniem.

Stopniowo dziwaczne zachowanie tego chudego człowieka poczęło budzić we mnie coraz to większą odrazę i obawę. Było w nim bowiem prócz kabotyństwa coś, co wywoływało niepokój. Nawet obawa przed utratą klienta nie mogła mnie powstrzymać od okazania ogarniającego mnie zniecierpliwienia.

— Proszę, niech pan przedstawi swoją sprawę, bo naprawdę tracimy czas niepotrzebnie. — Słowa te wyrwały mi się nieopatrznie. Bardzo się nimi zaniepokoiłem,

— Czy odpowiada panu 50 gwinei za pracę nocną. ?

— Ależ to wspaniale!

— Wspomniałem o pracy nocnej. Ale będzie to zaledwie kilka godzin. Chodzi po prostu o zbadanie hydraulicznej prasy drukarskiej, która się popsowała. Wystarczy, że wskaże nam pan uszkodzenie, a my już sami ją naprawimy. Co pan sądzi o tej robocie?

— Praca lekka, a zapłata sowita.

— Doskonale! Będę więc oczekiwał pana przyjazdu tej nocy ostatnim pociągiem.

— A gdzie?

— W Eyford... w hrabstwie Berkshire. Jest to maleńka miejscowość na pograniczu hrabstwa Oxfordshire W odległości siedmiu mil od Reading. Pociąg z Paddington przychodzi tam o godzinie 23. 15.

— Świetnie!

— Przyjadę po pana powozem.

— A więc trzeba tam jeszcze dojechać końmi?

— Nasza siedziba leży całkiem na uboczu. Znajduje się ona o dobre siedem mil od stacji Eyford.

— Och! To przed północą chyba tam nie dojedziem. Wydaje mi się, iż nie będę miał pociągu powrotnego. Zmusi mnie to do zatrzymania się na noc.

— Tak jest! A więc zanocuje pan u nas.

— Ależ to sprawi państwu dużo kłopotu. Czy nie mógłbym raczej przyjechać o jakiejś stosowniejszej porze?

— Nie ma o czym mówić! To już postanowione! Właśnie najlepiej będzie, jeśli przyjedzie pan późnym wieczorem. Celem wynagrodzenia panu wszelkiego rodzaju niedogodności dajemy młodemu i nie znanemu inżynierowi zapłatę godną najlepszych specjalistów. Jeśli zaś panu to nie odpowiada, to oczywiście nie nalegam! Pomyślałem o 50 gwineach i o ich znaczeniu dla mnie.

— Ależ nie — odrzekłem — z prawdziwą przyjemnością zastosuję się do pańskich życzeń. Chciałbym jednak zorientować się dokładniej, czego właściwie pan ode mnie żąda?

— Naturalnie! Wcale się nie dziwię. Przyrzeczenie dochowania tajemnicy podnieca pana ciekawość. Nie mam zamiaru polecać panu czegokolwiek bez uprzedniego zaznajomienia go z całokształtem sprawy. Przypuszczam, że nikt nas tu nie podsłuchuje?

— Z całą pewnością!

— A więc sprawa przedstawia się następująco. Jak pan się z pewnością orientuje, ziemia fulerska jest cennym i poszukiwanym surowcem. Występuje ona na terenie Anglii w jednym lub najwyżej w dwu miejscach.

— Słyszałem o tym.

— Otóż niedawno zakupiłem niewielką posiadłość zupełnie maleńką, w odległości 10 mil od Reading. Szczęście uśmiechnęło się do mnie. Odkryłem mianowicie na jednym z pól złoża ziemi fulerskiej. Po bliższym zbadaniu okazało się jednak, iż złoża te nie są zbyt bogate i stanowią jedynie połączenie pomiędzy dwoma innymi, znacznie zasobniejszymi. Natomiast właściwe pokłady ziemi fulerskiej znajdowały się u moich sąsiadów. Ci poczciwcy nie podejrzewali nawet, że ich grunty kryją coś, co jest niemal tak cenne jak złoto. Oczywiście w moim interesie leżało, aby nabyć tę ziemię, zanim oni odkryją jej prawdziwą wartość. Niestety, nie miałem na to dostatecznych funduszy. Wtajemniczyłem więc w tę sprawę kilku moich przyjaciół. Oni to właśnie poddali mi myśl, iż powinniśmy po cichu eksploatować nasze złoża. W ten sposób uzyskalibyśmy pieniądze na zakup sąsiednich terenów. Do chwili obecnej pracujemy więc z zachowaniem najściślejszej tajemnicy. Dla usprawnienia naszej działalności zainstalowaliśmy prasę hydrauliczną. Prasa ta, jak poprzednio wyjaśniłem, popsuła się. W związku z tym potrzebujemy pańskiej porady. Strzeżemy oczywiście naszej tajemnicy jak oka w głowie. Gdyby rozeszła się wiadomość, iż do naszego domku sprowadziliśmy inżyniera–hydraulika, to ludzie poczęliby interesować się tym i wszystko mogłoby wyjść na jaw. Wówczas utracilibyśmy bezpowrotnie możliwość nabycia terenów i urzeczywistnienia naszych planów. Dlatego też wymagałem przyrzeczenia, iż nikomu nie wspomni pan nawet

o swej dzisiejszej podróży do Eyford. Teraz, mam nadzieję, wszystko jest jasne!?

— Całkowicie pana rozumiem — odpowiedziałem. — Jedno tylko wydaje się niejasne, a mianowicie: do czego właściwie służy prasa hydrauliczna przy wydobywaniu ziemi fulerskiej? O ile wiem, leży ona w głębi ziemi i trzeba ją wykopywać jak żwir.

— Ach — rzekł beztrąsko pułkownik. — Stosujemy własną metodę wydobywania. Prasujemy ziemię w cegły, aby za maskować, co ona w sobie kryje. Zresztą to nieważne! Zaznajomiłem pana z całą moją tajemnicą! To chyba najlepszy dowód mego zaufania. — Wstał kończąc. — Oczekuję więc pana w Eyford o godzinie 23.15.

— Będę tam na pewno!

— Nikomu ani słowa! — Jeszcze raz przeszył mnie przeciągłym badawczym spojrzeniem. Uścisnął chłodno moją dłoń, co miało oznaczać podziękowanie... i pospiesznie opuścił pokój.

Dopiero po jakimś czasie ochłonałem z pierwszego wrażenia. Zacząłem się spokojnie zastanawiać nad całą tą sprawą. Opanowało mnie jakieś dziwne uczucie. Niespodziewane zamówienie pułkownika wywołało u mnie rozterkę wewnętrzną. Z jednej strony byłem zadowolony z wynagrodzenia, gdyż przewyższało ono przecież dziesięciokrotnie normalną cenę za tego rodzaju usługi. Ponadto miałem jeszcze nadzieję na dalszą współpracę. Z drugiej jednak strony cały wygląd i zachowanie się mojego klienta wywarły na mnie zdecydowanie ujemne wrażenie, zaś jego mętne wyjaśnienia o ziemi fulerskiej wcale nie przekonały mnie o konieczności tajemniczej wyprawy wśród nocy. Ach, jakież on był niespokojny, chociaż starał się opanować! To właśnie wzbudziło we mnie nieprzewartą chęć porozmawiania z kimkolwiek i podzielenia się

wątpliwościami. W końcu odrzuciłem jednak od siebie podejrzenia. Zjadłem gorącą kolację i udałem się do Paddington, skąd ruszyłem w podróż.

Tak więc zdecydowałem się dochować tajemnicy. W Reading musiałem się przesiąść. Trzeba było iść na inny dworzec. Zdążyłem jednak na ostatni pociąg do Eyford. Wsiadłem na małej, źle oświetlonej stacji po godzinie jedenastej w nocy. Byłem jedynym podróżnym, który tam przybył. Na peronie nie zauważyłem nikogo prócz zaspanego tragarza z latarnią. Gdy jednak wychodziłem z dworca natychmiast natknąłem się na mojego znajomego. Czekał ukryty w cieniu po drugiej stronie ulicy. Bez słowa chwycił mnie za ramię i szybko wepchnął przez otwarte drzwiczki do powozu. Zasłonił okna po obu stronach i zapukał mocno w drewnianą ściankę na stangreta. Ruszyliśmy co koń wyskoczy...

— Jeden koń? — spytał Holmes.

— Tak! Tylko jeden!

— Czy zdążył pan zauważyć, jakiej był maści?

— Owszem! Spostrzegłem to, gdy wsiadałem do powozu, w świetle latarni padającym z boku. Był to kasztan.

— Czy wyglądał na zmęczonego, czy wypoczętego? — Wydawał się zupełnie świeży i lśniący.

— Dziękuję panu! Przykro mi, że przerwałem. Proszę, niech pan ciągnie dalej swą ciekawą opowieść.

Pojechaliśmy więc... Jazda trwała chyba co najmniej godzinę. Pułkownik Lizander Stark zapewniał mnie, iż miało to być 7 mil. Osobiście jednak jestem zdania, sądząc po szybkości, z jaką pędziliśmy, i czasie, jaki podróż pochłonęła, że musiało to być około 12 mil. Pułkownik siedział obok mnie i milczał jak zaklęty przez całą drogę.

W pewnej chwili poczułem się jakoś nieswojo. Ilekroć rzuciłem okiem w jego stronę, napotykałem badawcze spojrzenie.

Wiejskie drogi okolicy, którą mijaliśmy, były wyboiste. Rzucalo i trzęsło wprost niemożliwie. Chciałem wyrzeć przez okno, by zorientować się, dokąd jedziemy. Niestety, matowe szyby zasłaniały widok. Czasem tylko błyskały światła napotykaných latarni. Od czasu do czasu próbowałem rzucić taką czy inną uwagę, by urozmaicić nudną podróż, pułkownik jednak zbywał półsłówkami moje usiłowania i... rozmowa zamierała. Wreszcie skończyły się wyboje wiejskiego gościńca. Wjechaliśmy w aleję wysypaną żwirem, a po chwili powóz stanął. Pułkownik Stark wyskoczył pierwszy. Poszedłem za jego przykładem. Pociągnął mnie żywo w kierunku wejścia do budynku stojącego przed nami otworem. Wysiedliśmy z prawej strony powozu, zupełnie na wprost drzwi i dlatego nie zdążyłem dokładnie przyjrzeć się frontowi domu. Skoro tylko przekroczyliśmy próg, drzwi głucho zatrzęsnęły się za nami. Usłyszałem jeszcze turkot oddalającego się powozu...

Wewnątrz domostwa panowały ciemności. Pułkownik mrużąc pod nosem szukał po kieszeniach zapalek. Nagle otwarto drzwi na drugim końcu korytarza. Strumień jasnego światła spłynął w naszym kierunku. Stopniowo poszerzał się, wreszcie ujrzeliśmy kobietę niosącą lampę. Szła z głową poddaną ku przodowi, bacznie się nam przyglądając. Stałem jak olśniony. Była uderzająco piękna. Ciemna, bogata suknia mieniła się w blasku lampy... Powiedziała kilka słów w obcym języku tonem pełnym zdziwienia. Pułkownik zbył ją opryskliwym burknięciem. Spłoszyła się wówczas... zadrżała i niewiele brakowało, a lampa wypadłaby jej z ręki. Stark podszedł do niej i szepnął jej coś do ucha, w końcu popchnął z

powrotem do pokoju, skąd, przysła. Po chwili wrócił do mnie z lampą.

— Może pan, z łaski swej, poczeka w tym pokoju kilka minut. — rzekł otwierając inne drzwi. Znajdowałem się w niewielkim pomieszczeniu urządzonym bez smaku. Na środku stał okrągły stół. Leżało na nim w nieładzie kilka niemieckich książek. Stark postawił lampę na fisharmonii, umieszczonej obok wejścia. — Nie będzie pan długo czekał — powiedział i zniknął w ciemnościach.

Rzuciłem okiem na książki znajdujące się na stole. Nie znam, co prawda, dobrze języka niemieckiego, zorientowałem się jednak, iż dwie z nich są traktatami naukowymi, a reszta tomikami poezji. Następnie podszedłem do okna. Spodziewałem się bowiem, że będę mógł zorientować się jakoś w okolicy. Niestety, przeszkodziła temu szczelnie zaryglowana okiennica. W całym domu panowała głucha cisza. Jedyne gdzieś w głębi korytarza rozlegało się miarowe tykanie starego zegara. Stopniowo począł mnie ogarniać coraz to silniejszy niepokój. Kim właściwie są ci Niemcy? I co oni tu robią w tym dziwnym, położonym na pustkowiu domostwie? A w ogóle gdzie właściwie ten dom się znajduje? Chyba tylko 10 mil od Eyford — pomyślałem. — Ale w jakim kierunku? O tym nie miałem najmniejszego pojęcia. Być może, iż Reading, a także jakieś inne większe miejscowości leżą po drodze. W takim wypadku dom nie mógł być na pustkowiu. Panująca wokół cisza świadczyła o tym, iż musiałem się chyba znajdować na wsi. Począłem przechadzać się po pokoju, nucąc pod nosem dla dodania sobie odwagi. Stopniowo doszedłem do wniosku, że nie będzie prostą sprawą zarobić tych 50 gwinei.

Nagle drzwi pokoju uchyliły się bezszelestnie, nie mącąc głębokiej ciszy, w jakiej dom był pogrążony. Na tle ciemnego przedpokoju ukazała się piękna nieznajoma, którą spotkałem

przedtem w korytarzu. Niepokój malował się na jej twarzy. Była czymś wyraźnie wstrząśnięta i przerażona. Od razu rzucało się to w oczy. Jej niepokój udzielił się również i mnie. Położyła ostrzegawczo palec na ustach. Niepewnie rozejrzała się dokoła, a wreszcie wyrzuciła z siebie kilka urywanych słów łamaną angielszczyzną:

— Muszę stąd odejść!

Z trudem starała się opanować. Tak mi się przynajmniej zdawało.

— Odejdę stąd! Tak! Nie powinnam tu zostać! A pana też tu nic dobrego nie czeka.

— Ależ pani — odparłem. — Ja przecież jeszcze nie wykonałem pracy, która mnie tu sprowadziła. Nie mogę stąd odejść, dopóki nie zobaczę maszyny.

— Po co pan czeka? To nie ma sensu! Teraz jeszcze może pan opuścić bez przeszkód to miejsce...

Uśmiechnąłem się niedowierzająco, poruszając przecząco głową. Wówczas straciła pozorny spokój. Postąpiła krok naprzód i szepnęła błagalnie, załamując ręce:

— Na miłość boską! Niech pan ucieka, póki nie jest za późno.

Ale ja jestem z natury uparty — rzekł dla wyjaśnienia do Holmesa — i tym mocniej utwierdzam się w postanowieniu, im większe na swej drodze napotykam przeszkody. Pomyślałem o 50 gwineach, o męczącej podróży i według wszelkiego prawdopodobieństwa nieprzyjemnej nocy. I to wszystko miałoby pójść na marne!? Miałbym uciec stąd chyłkiem jak złodziej? Nie wykonać zlecenia i nie otrzymać zapłaty? Ejże?! A może ta piękna dama jest niespełna rozumu... ? Chociaż więc zachowanie jej wstrząsnęło mną mocniej, niż to po sobie okazywałem, w rezultacie nie dałem się przekonać. Odmownie potrząsnąłem głową, zdecydowany pozostać na miejscu. Chciała ponowić swe prośby, gdy wtem

gdzieś u góry trzasnęły drzwi. Na schodach usłyszeliśmy odgłos kroków. Nieznajoma nasłuchiwała chwilę w napięciu. Potem rozłożyła ręce gestem rozpaczy i znikła tak nagle i bezszelestnie, jak się zjawiała.

Nadszedł pułkownik Stark z jakimś niskim mężczyzną noszącym bokobrody. Przedstawił go jako Mr. Fergussona.

— Oto mój sekretarz i kierownik robót zarazem — rzekł pułkownik. — Ale cóż to? Drzwi otwarte? Zaraz, zaraz! Wydaje mi się, iż wychodząc zamknąłem drzwi. Czy nie dokuczał panu przeciąg?

— Wręcz przeciwnie! — odrzekłem. — Otworzyłem drzwi, gdyż było mi duszno.

Stark spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Ech! Lepiej chyba będzie, jeśli od razu przystąpimy do interesu — powiedział. — Razem z panem Fergussonem pokażemy panu maszynę.

— Świetnie! Już idę, tylko włożę kapelusz!

— Ach! Nie potrzeba! Maszyna znajduje się tu w domu.

— Co? Wydobywa pan ziemię fulerską w mieszkaniu?

— Nie, nie! Tutaj tylko... sprasowujemy ją. Zresztą Co to pana obchodzi?! Od początku stawiałem sprawę jasno! Do pana należy jedynie wykrycie uszkodzenia mechanizmu prasy. I koniec.

Udaliśmy się po schodach na piętro. Prowadził pułkownik z lampą w ręku, zaś gruby kierownik robót i ja postępowaliśmy za nim. Stare domostwo stanowiło prawdziwy labirynt korytarzy, przejść i wąskich a krętych klatek schodowych, oraz niewielkich alków i pokoików, nie zamieszkałych od pokoleń. Nie było tam ani dywanów, ani w ogóle śladu jakichkolwiek mebli. Miejscami tynk odpadał ze ścian. Widniały tam zielone plamy wilgoci i pleśni. Starąłem się zachować całkowity spokój. Nie zapomniałem jednak o ostrzeżeniach pięknej nieznajomej i chociaż nie usłuchałem

jej, to jednak bacznie obserwowałem mych towarzyszy. Fergusson wyglądał na człowieka posepnego i małowównego. Z kilku słów, jakie ze sobą zamieniliśmy, zorientowałem się, iż jest stałym mieszkańcem tej okolicy.

Wreszcie pułkownik Stark zatrzymał się przed niskimi drzwiami. Otworzył je. Ujrzałem małą komórkę, w której nas trzech ledwo mogłoby się pomieścić, Fergusson pozostał na zewnątrz, a pułkownik wprowadził mnie do środka.

— Znajdujemy się — objaśnił mnie — we wnętrzu prasy hydraulicznej. Byłoby bardzo niedobrze, gdyby ktoś puścił ją w ruch. Powąta tego małego pokoiku stanowi zakończenie ruchomego tłoka, który, obniżając się ku tej oto metalowej podłodze, ciśnie na nią z siłą wielu ton. Rurami, znajdującymi się na zewnątrz, dochodzi woda poruszająca tłok maszyny na znanej panu zasadzie. Maszyna działa dość sprawnie. Dopiero ostatnio zaczęła się zacinać i moc jej wyraźnie się zmniejszyła. Tak! No, a teraz może będzie pan łaskaw obejrzyć ją i Wskazać nam sposób naprawy?

Wziąłem od niego lampę i dokładnie obejrzałem prasę hydrauliczną. Rzeczywiście była to potężna maszyna o gigantycznej mocy. Wszedłem na górę. Nacisnąłem dźwignie kontrolne prasy. Po świszczącym odgłosie wydobywającym się z maszyny, od razu zorientowałem się, co się stało. To boczne cylindry są nieszczelne i przepuszczają wodę. Dokładnie zbadałem mechanizm. Jedna z uszczelk gumowych otaczających wał kotłowy Wytarła się do tego stopnia że nie przylegała ściśle do ścian komory. Dlatego właśnie maszyna traciła swą moc. Podzieliłem się tymi spostrzeżeniami ze Statkiem i Fergussonem. Słuchali mnie bardzo uważnie i zadawali cały szereg pytań, dotyczących sposobu naprawy maszyny. Kiedy Wszystko już wyjaśniłem, wszedłem ponownie do pokoiku, stanowiącego wnętrze prasy hydraulicznej. Jeszcze raz przyjrzałem się jej dokładnie, aby

zaspokoić swą ciekawość. Od chwili, gdy ujrzałem prasę, byłem przekonany, że cała historia o ziemi fulerskiej była tylko bajeczką. Nedorzeczne nawet było samo przypuszczenie, iż tak silną i potężną maszynę można przeznaczyć do tak nieodpowiedniego i błahaego żądania. Ściany prasy były co prawda drewniane, lecz podłoga żelazna, Dokładnie oglądałem tę podłogę. Zauważyłem teraz, na całej powierzchni jakiś zaskorupiały osad metalowy. Pochyliłem się i począłem zdrapywać osad, aby go potem szczegółowo zbadać, gdy wtem usłyszałem przytłumiony, chrapliwy okrzyk... chyba po niemiecku. Poderwałem się i... ujrzałem pułkownika. Stał jak wryty, wpijając się we mnie niesamowitym Wzrokiem, a potworny grymas wykrzywił jego chudą twarz.

— Co pan tam robi? — zapytał.

Byłem oburzony. Wprowadził mnie przecież w błąd zmyśloną historyjką. Toteż odparłem gniewnie.

— Podziwiam pańską ziemię fulerską. Sądzę, iż mógłbym służyć lepszą radą, gdybym wiedział, do jakiego celu służy naprawdę ta maszyna.

W tej samej jednak chwili, gdy wyrzuciłem z siebie te słowa, pożałowałem swej gwałtowności. Rysy jego stwardniały, a w stalowych oczach zabłyśły złowrogie ogniki.

— Oczywiście! Powinien pan dokładniej zapoznać się z maszyną. — Cofnął się o krok, zatrzasnął za sobą drzwi i przekręcił klucz w zamku. Rzuciłem się ku wyjściu i począłem szarpać za klamkę. Nadaremno! Nie pomogło również gwałtowne dobijanie się. Drzwi ani nie drgnęły. Począłem krzyczeć: Halo! Halo! Pułkowniku! Niech mnie pan wypuści!!!

Wówczas usłyszałem nagle odgłos, który zmroził mi krew w żyłach. Głucho szczęknęła dźwignia, a z nieszczelnej komory tłokowej wydobywał się złowrogi, syczący poświst. To Stark

puścił w ruch maszynę, w której wnętrzu zostałem zamknięty. W świetle stojącej na podłodze lampy ujrzałem czarny pułap. Obniżał się powoli i nierównomiernie. Nikt też lepiej, ode mnie nie mógł wiedzieć, że siła ta jest w stanie zmiażdżyć mnie w ciągu jednej minuty na bezkształtną masę. Ponownie rzuciłem się z krzykiem do drzwi. Wpiłem się w nie kurczowo. Zaklinałem pułkownika, by mnie wypuścił. Lecz szcęk dźwigni zagłuszył moje krzyki. Była to jedyna odpowiedź. Pułap znajdował się już o stopę lub dwie od mej głowy. Bez trudu dosięgnąć mogłem ręką jego twardej i szorstkiej powierzchni. Przyszło mi na myśl, iż ból, którego doznałbym w chwili śmierci, zależeć będzie w dużym stopniu od pozycji, w jakiej się będę znajdował. Gdybym się położył na brzuchu to tłok prasy przygniótłby mi kręgosłup i... nastąpiłby krótki, straszliwy trzask. Wzdrygnąłem się na samą myśl o tym. Przypuśćmy zatem, iż położyłbym się na plecach. Czyż miałbym dość spokoju, by patrzeć na czarny pułap, zniżający się ku mnie stopniowo lecz nieuchronnie? Metalowy pułap dotknął już mej głowy... Musiałem się pochylić... Wtem zauważyłem coś, co natchnęło mnie otuchą, budząc nikły promień nadziei.

Jak już wspomniałem, sufit i podłoga były żelazne a ściany drewniane. W jednej ze szczelin między deskami zauważyłem smugę światła, która stopniowo poszerzała się. Wydawało się, jakby część ściany wypchnięto. W pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć swemu szczęściu. Droga ratunku stała przede mną otworem. Rzuciłem się gwałtownie w tajemnicze przejście, lecz zaraz za progiem padłem na wpół omdlały. Tafla zasunęła się za mną... a więc była to już ostatnia chwila. Zaraz potem doszedł mnie zgrzyt i trzask tłuczonej lampy naftowej, a następnie metaliczny łoskot... Ruchomy pułap prasy hydraulicznej uderzył o posadzkę.

Odzyskałem przytomność. Ktoś gwałtownie szarpał mnie za przegub ręki. Leżałem na kamiennej podłodze wąskiego korytarza, nade mną zaś pochylała się piękna kobieta. Lewą ręką usiłowała mnie z wielkim trudem odciągnąć, od maszyny, w prawej zaś trzymała lampę. Była to ta sama tajemnicza i dobra nieznajoma, której ostrzeżenie tak nierozsądnie zlekceważyłem..

— Prędeż! Prędeż! — wołała bez tchu. — Oni zaraz odkryją, iż pana tam nie ma. Będą tu za chwilę. Och! Nie traćmy cennego czasu! Uciekajmy!

Teraz już bez wahania zastosowałem się do jej wskazówek. Dźwignąłem się z ziemi... Pobiegliśmy pędem przez korytarz i dalej w dół krętymi schodami, aż wreszcie znaleźliśmy się w szerokim przejściu. W tym momencie doszły nas odgłosy gorączkowej bieganiny i nawoływania. Słysząc je było na naszym piętrze i na dole. Moja przewodniczka zatrzymała się i rozejrzała wokół bezradnie. Wreszcie otworzyła drzwi do sypialni. Przez okno wpadał jasny blask księżyca, oświetlając cały pokój.

— Oto ostatnia szansa! — powiedziała przerywanym głosem. — Stąd jest wysoko, ale może się panu uda zeskoczyć.

Gdy to mówiła, na drugim końcu korytarza błysnęło światło... i ujrzałem chudą postać pułkownika. Biegł trzymając w jednym ręku latarnię, a w drugim jakieś wielkie obcegi. W kilku skokach byłem przy oknie. Otworzyłem je na oścież i wyjrzałem. Ogród tonął w łagodnej poświacie księżycowej. Panowała tu głęboka cisza i niezmacony spokój. Okno znajdowało się na wysokości najwyżej trzydziestu stóp. Byłem już na parapecie, zawahałem się jednak przed skokiem. Wtedy właśnie usłyszałem gwałtowną sprzeczkę pomiędzy moją wybawicielką a łotrem, który mnie ścigał. Zdecydowany byłem oczywiście przyjść jej z pomocą, jeśliby tylko

zagrażało jej najmniejsze chociaż niebezpieczeństwo. Pułkownik ukazał się w drzwiach... Chciał ją wyminąć, lecz chwycił go nagle oburącz i usiłowała zatrzymać.

— Fryc! Fryc! Przypomnij sobie swą ostatnią obietnicę — wołała łamaną angielszczyzną. — Przyrzekłeś, że to się już więcej nie powtórzy. Och! On będzie milczał! Na pewno dochowa tajemnicy.

— Czyś ty oszalała, Elizo? — krzyknął, starając się od niej uwolnić. — Chcesz nas zrujnować?! On widział zbyt wiele! Puść mnie, mówię ci! — Odepchnął ją gwałtownie. Skoczył błyskawicznie do okna. Byłem już na zewnątrz... Wisiałem jeszcze, kurczowo trzymając się parapetu, gdy spadł na mnie cios Starka. Uczułem okropny, tępy ból. Rozluźniłem uchwyt i runąłem w dół do ogrodu. Doznałem silnego wstrząsu, lecz poza tym od upadku nie ucierpiałem. Podniosłem się i ruszyłem pędem poprzez krzaki i zarośla ogrodu tak szybko, jak tylko mogłem. Doskonale rozumiałem, iż niebezpieczeństwo nadal mi zagraża. Nagle ogarnęła mnie dziwna słabość. Spojrzałem na rękę. Przenikał mnie ostry pulsujący ból. Teraz dopiero zorientowałem się, iż odcięto mi duży palec. Z rany buchała krew. Zdążyłem tylko owinąć ją chusteczką. W uszach poczęło mi dzwonić. W następnej chwili padłem nieprzytomny wśród różanych krzewów.

Nie mogę bliżej określić, jak długo znajdowałem się w tym stanie. Musiało to jednak trwać kilka godzin. Gdy wreszcie się ocknąłem, świtało... Odzież całkowicie przemokła mi od rosy, rękaw marynarki był zbroczony krwią. Ostry ból zranionej ręki przypomniawszy mi natychmiast wszystkie przeżycia ostatniej nocy. Zerwałem się gwałtownie z silnym uczuciem grożącego mi niebezpieczeństwa ze strony tajemniczych prześladowców. Lecz ku memu zdziwieniu, gdy począłem się wokół rozglądać, nie znalazłem ani domu, ani ogrodu. Znajdowałem się przy jakimś żywopłocie. W pobliżu wysokiego nasypu biegł

gościniec. Dalej stał długi budynek. Zbliżyłem się doń. Był to dworzec kolejowy, na który nocą przybyłem...

Gdyby nie dokuczliwa rana, mógłbym wszystko, co spotkało mnie tej nocy, uważać za koszmarny sen. Jeszcze półprzytomny udałem się na stację, by dowiedzieć się o ranny pociąg. Odchodził on do Reading za niespełna godzinę. Służbę pełnił ten sam bileter, którego widziałem nocą po przyjeździe. Zapytałem go, czy nie wie czegokolwiek o pułkowniku Stark. Nie znał nawet tego nazwiska. Czy zauważył pojazd, który czekał na mnie tej nocy? Nie! Nie widział! Czy jest gdzieś w pobliżu posterunek policji? Owszem, w odległości trzech mil.

Było to zbyt daleko dla mnie, osłabionego i chorego. Postanowiłem poczekać, wrócić do miasta i wówczas zawiadomić policję. Było nieco po szóstej, gdy dotarłem do Londynu. Tu przede wszystkim zatroszczyłem się o opatrunek, a następnie... doktor był na tyle uprzejmy, że przyprowadził mnie do pana. Teraz oddaję sprawę w pańskie ręce i będę tak postępował, jak mi pan poleci.

Po wysłuchaniu niezwyklej opowieści Hatherleya przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wywołała ona w nas silne wrażenie. Następnie Sherlock Holmes wyciągnął z etażerki jedną ze swych ciężkich, zniszczonych książek, w których przechowywał różne notatki i wycinki z gazet.

— Oto ogłoszenie, które z pewnością pana zainteresuje — powiedział. — Ukazało się ono przed rokiem we wszystkich pismach. Niech pan uważnie posłucha: *Dnia dziewiątego bieżącego miesiąca Zaginął Mr. Jeremiah Hayling, inżynier hydraulik, lat 26. Opuścił swe mieszkanie w nocy o godzinie 10 i od tej chwili wszelki ślad po nim zaginął. Był ubrany... i tak dalej. No cóż? Przypuszczam, iż chodzi tu o poprzednią naprawę maszyny pułkownika.*

— Wielkie nieba! — krzyknął mój pacjent. — To przecież wyjaśnia słowa tajemniczej nieznajomej.

— Bez wątpienia — rzekł Holmes. — Pułkownik, to okrutny i pozbawiony skrupułów przestępca. Był zdecydowany na usunięcie każdej przeszkody ze swej drogi. Zachowanie jego przypomina znanych z opowieści zdeterminowanych, dzikich piratów, którzy po zdobyciu okrętu nie pozostawiali nikogo przy życiu. Lecz teraz do dzieła! Każda chwila jest droga! Skoro czuje się pan na siłach, chodźmy natychmiast do Scotland Yardu, a potem w drogę do Eyford.

Mniej więcej po trzech godzinach znaleźliśmy się wszyscy w pociągu, podążającym z Reading do małej miejscowości w hrabstwie Berkshire. Wśród nas był Sherlock Holmes, inżynier-hydraulik, inspektor Bradstreet ze Scotland Yardu, jeszcze jakiś cywil i ja. Bradstreet rozłożył mapę okolicy na ławce i starannie wykreślił cyrklem koło, w środku którego znajdowało się Eyford.

— Zdarzyło się to chyba gdzieś w tej okolicy — powiedział. — Krąg zakreśliłem promieniem dziesięciomilowym. Miejsce, którego szukamy, musi się znajdować w pobliżu narysowanej na mapie linii. Zdaje mi się, że pan coś wspominał o dziesięciu milach, nieprawdaż?

— Była to godzina szybkiej jazdy.

— Czyżby wieźli pana nieprzytomnego taki szmat drogi z powrotem?

— Chyba tak zrobili... Ale nie przypominam sobie, aby mnie ktoś podnosił i wiozł.

— Jednego nie mogę zrozumieć — powiedziałem. — Dlaczego zostawili pana przy życiu po znalezieniu go bez przytomności w ogrodzie? Czyżby ten łajdak uległ błaganiom pana tajemniczej nieznajomej?

— Bardzo w to wątpię. Nigdy w życiu nie spotkałem tak nieubłaganego i zaciętego człowieka.

— Ech! Niedługo wszystko się wyjaśni — powiedział Bradstreet. — Oto koło zakreślone na mapie. Teraz chcę tylko wiedzieć, gdzie znajdują się ludzie, których szukamy?

— Wydaje mi się, iż punkt ten mogę wskazać — powiedział spokojnie Holmes.

— Co takiego?! — krzyknął inspektor. — Pan już rozwiązał zagadkę? Proszę bardzo! Zobaczymy, kto ma rację. Ja twierdzę, że jest to na południu, ponieważ w tamtej okolicy leżą pustkowia.

— A ja przypuszczam, iż na wschodzie — powiedział mój pacjent.

— Raczej na zachodzie — zauważył cywil — bo tam właśnie znajduje się kilka małych wiosek.

— Moim zaś zdaniem na północy — dodałem — ponieważ nie ma tam żadnych pagórków. Według opowiadania inżyniera powóz jechał równiną, nie pokonując żadnych wzniesień.

— Ależ to paradne! — krzyknął inspektor, śmiejąc się serdecznie. Co za wspaniała rozbieżność zdań! Podzieliliśmy się stronami świata.

— A jakie jest pańskie zdanie, Mr. Holmes?

— Wszyscy jesteście w błędzie!

— To niemożliwe! Wszyscy przecież nie możemy się mylić!

— A jednak tak jest! Tu, moim zdaniem, znajduje się miejsce, którego szukamy — i umieścił palec w samym środku koła. — Tam powinniśmy ich znaleźć.

— A jak pan wytłumaczy dwunastomilową jazdę? — wyrzucił bez tchu Hatherlay.

— Sześć mil w jedną stronę i sześć z powrotem. Nie prostszego. Pan nam przecież powiedział, iż koń był świeży i

lśniący, gdy wsiadaliście do powozu. Czyż byłoby to możliwe, gdyby zrobił przedtem 12 mil po ciężkich drogach?

— Rzeczywiście! Cóż to za chytry podstęp! — zauważył Bradstreet w zadumie. — Naturalnie, nie ma żadnej wątpliwości co do rodzaju przestępstwa i całej tej szajki.

— Oczywiście — powiedział Holmes. — To byli fałszerze pieniędzy na wielką skalę. Posługiwali się maszyną do wybijania monet ze specjalnego stopu mającego zastąpić srebro.

Już od pewnego czasu otrzymywaliśmy wiadomości o działaniu jakiejś sprytnej bandy. Puszczali oni w obieg tysiące fałszywych półkoronówek. Prowadząc śledztwo, dotarliśmy do okolic Reading. Dalej jednak ślady ginęły, Potrafili oni tak umiejętnie je za sobą zacierać, jak tylko potrafią to czynić doświadczeni przestępcy. Przypuszczam jednak iż tym razem szczęście się do nas uśmiechnęło. Wpadną nam chyba w ręce.

Inspektor się jednak pomylił. Nie było bowiem Sądzone, by przestępcy ci wpadli w ręce sprawiedliwości. Gdy pociąg wtoczył się na stację Eyford, ujrzeliśmy olbrzymi słup dymu, który wydobywał się spoza niewielkiej kępy drzew rosnących nie opodal i wisiał nad okolicą na podobieństwo pióropusza ze strusich piór.

— Cóż to za pożar? Czy to dom się pali? — zapytał Bradstreet dyżurnego, gdy pociąg stanął.

— Tak, sir! — odpowiedział dyżurny ruchu.

— Kiedy to się stało?

— Jak słyszałem, w ciągu nocy. Później ogień rozszerzył się i objął całe domostwo.

— A kto jest właścicielem tego domu? — Doktor Becher.

— Niech pan mi powie — wtrącił inżynier — czy ten dr Becher nie jest przypadkiem Niemcem? Takim bardzo szczupłym o szpiczastym nosie?

— Nie, proszę pana — zaśmiał się dyżurny. — Dr Becher jest Anglikiem, Nie ma też w całej okolicy nikogo, kto by z większym trudem mieścił się w swej kamizelce. Ale zatrzymał się u niego pewien pan, jak przypuszczam, pacjent. Jest on cudzoziemcem i wygląda jakby stale nie dojechał.

Ledwo dyżurny skończył mówić, a już spieszyliśmy w kierunku pożaru. Droga pięła się po łagodnej pochyłości ku szczytowi niewielkiego pagórka. Stał tam duży biały budynek, otoczony licznymi przybudówkami. Ze wszystkich okien, otworów i szczelin buchał dym i ogień. W ogrodzie stały trzy wozy straży pożarnej. Daremnie jednak usiłowano stłumić płomienie.

— To właśnie tu! — krzyknął podniecony Hatherley.

— O, tam jest zajazd wysypany żwirem, a tu rosną krzaki róży, w których leżałem zemdłony. Z tego oto drugiego z rzędu okna wyskoczyłem.

— No, przynajmniej odwzajemnił mu się pan z nawiązką. Nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że drewniane ściany zapaliły się od pozostawionej przez pana lampy naftowej, zgniecionej przez prasę. Pańscy prześladowcy zbyt byli pochłonięci pościgiem, dlatego też nie spostrzegli w porę grożącego niebezpieczeństwa. I oto skutki... Teraz niech pan przyjrzy się uważnie tłumowi i szuka swych „znajomych” z ostatniej nocy. Obawiam się jednak bardzo, że znajdują się oni w tej chwili o dobre sto mil od nas.

Obawy Holmesa potwierdziły się w całej pełni. Od tego bowiem dnia wszelki słuch zaginął o pięknej nieznanym, złowrogim Niemcu i grubym Angliku. Wczesnym rankiem jakiś wieśniak spotkał wóz, załadowany po brzegi skrzyniami, na którym znajdowało się ponadto kilka osób. Wóz ten jechał z dużą szybkością w kierunku Reading. Tam jednak wszelkie ślady po uciekinierach znikły. Nawet geniusz Holmes nie był

w stanie ustalić choćby z minimalną dozą prawdopodobieństwa miejsca ich pobytu.

Strażaków bardzo zainteresowały dziwne urządzenia, które znaleźli wewnątrz domu, a jeszcze więcej odcięty ludzki palec, leżący pod parapetem okna na drugim piętrze.

O zachodzie słońca, dzięki wysiłkom strażaków ugaszono pożar. Dom jednak już się zawalił. Za wyjątkiem kilku skrzyconych wskutek wielkiego żaru tłoków i rur żelaznych nie pozostało śladu po prasie hydraulicznej, która tak drogo kosztowała naszego nieszczęśliwego inżyniera. W składach na zapleczu domostwa znaleziono wielkie ilości niklu i cyny. Nie odkryto natomiast żadnych monet. Prawdopodobnie szajka zdołała je zabrać ze sobą.

W jaki jednak sposób trafił nasz inżynier z ogrodu na miejsce przy drodze, gdzie odzyskał zmysły? Zostałoby to pewnie wieczystą tajemnicą, gdyby nie odkryto delikatnych śladów, które w bardzo prosty sposób wszystko wyjaśniły. Były to odciski stóp dwóch osób. Jedne małe, a drugie wielkie. Należały one najprawdopodobniej do tajemniczej nieznajomej i milczącego Anglika. Widocznie w Fergussonie tkwiło jeszcze coś ludzkiego. Pomógł Elizie przenieść nieprzytomnego Hatherleya z miejsca, w którym zagrażało mu niebezpieczeństwo.

— No tak! — powiedział inżynier żałośnie, gdyśmy zajęli miejsca w pociągu wracającym do Londynu. — To był dla mnie zaiste „wspaniały” interes. Straciłem palec, a 50 gwinei nawet nie ujrzałem. Co, więc zyskałem?

— Doświadczenie! — powiedział Holmes ze śmiechem. — Ostatecznie zgodzi się pan ze mną, że i ono jest coś warte. Wypadek ten będzie dla pana cenną przestrogą na resztę życia.